Rok 1898. Lwów, dnia 7. lutego. Nr. 6.

ECHO LITERACKIE

Dodatek tygodniowy „Dziennika Polskiego“

Redaktor: Izydor Kuncewicz.

Dr. K. J. GORZYCKI

WSPÓŁCZESNE PRĄDY W LUDOZNAWSTWIE.

„Ludoznawstwo“ (Volkskunde, folklore) obejmuje w najszerszem znaczeniu tego wyrazu cały szereg wiadomości, potrzebnych do poznania ludu, to znaczy ludzi zamieszkujących pewne terytorjum. Chcąc poznać lud w takiem zrozumieniu tego słowa, należałoby badać całą ludność danego kraju pod względem jej właściwości dzisiejszych i wytworzonych w przeszłości, jej właściwości fizycznych i umysłowych, instytucyj społecznych, stanu ekonomicznego, związków umysłowych z innymi narodami i t. d. W ten sposób w zakres ludoznawstwa wchodziłyby i takie nauki, jak historja polityczna, społeczna, historja nauk, przemysłu — rozumie się w zakresie ograniczonym do pewnego danego narodu.

Ale takie najszersze pojmowanie ludoznawstwa byłoby prawie identycznem z badaniem całego stanu cywilizacyjnego narodu dzisiaj i w przeszłości; byłoby niejako ekscerptem z ogólnej historji cywilizacji w zakresie czy to jednego narodu, czyli też kraju, w którym np. jak w Galicji mieszkają dwa główne narody i kilka drobniejszych. Jakoż nie da się zaprzeczyć, że ludoznawstwo niejednokrotnie wkracza w zakres badań nad całą kulturą narodową, względnie krajową, ale nie w tak zbyt ogólnem zrozumieniu tego słowa, jakto podałem u wstępu. Mianowicie ludoznawstwo takie, jak je dzisiaj wszędzie u narodów cywilizowanych napotykamy — nie rozszerza swych badań na całą ludność, zamieszkującą pewne terytorjum ale tylko na tę część tej ludności, którą wulgarnie nazywamy „ludem prostym“. Cóż jednak mamy rozumieć pod tem wyrażeniem „lud prosty“? Cały szereg określeń nasuwa się w tym względzie, chcac jednak rzecz przedstawić ściśle, a jednak możliwie popularnie użyję tutaj porównania, przytoczonego przez dr. Frankę w rozprawie p. t. „Najnowsze prądy w ludoznawstwie“). („Lud“, za kwiecień r. 1895). Przedstawmy sobie armię, idącą na zdobycie kraju nieprzyjacielskiego. Tylko mała mniejszość armii posiada oręż i postępując przodem walczy i zdobywa kraj. Ogromna większość ciągnie się z tyłu — to ciury i marodery. Kupy ich błądzą tędy i owędy, zachodzą na manowce, odbiegają wstecz lub zostają na miejscu. To jest obraz naszej dzisiejszej cywilizacji. Jest ona dziełem i zdobyczą mniejszości, jednostek wybranych. Większość ciągnie za tymi przodownikami w większej lub mniejszej odległości, dochodzi o całe setki lat później do etapów pozostawionych przez nich, przeżuwa tysiące lat to, co oni dawno przetrawili, lecz bądź co bądź idzie utartą przez nich drogą, bezładnie, raz zwolna, to znów prędzej przebiega różne jej stadja, lub zatrzymuje się na nich długo. Przednie szeregi w wielu wypadkach dawno już zapomniały o punkcie wyjścia, o pierwszych etapach swego pochodu cywilizacyjnego, stąd też badanie owych ciurów i maroderów, (owego „ludu prostego“) ma nieraz wartość dla odtworzenia tych pierwszych punktów wyjścia, a nieraz, gdy pierwsze szeregi zajdą w jakiś głuchy kąt, takie oglądanie się na pierwsze etapy może być korzystnem, może wskazać nowy kierunek drogi, prowadzący do celu“. Celem „ludoznawstwa jest właśnie badanie tych ciurów i maroderów pochodu cywilizacyjnego. Przez ten swój cel wchodzi „ludoznawstwo“ w ścisły związek z socjologią, mianowicie z tą jej częścią, która zajmuje się specjalnie badaniem początków i początkowych stadjów rozwoju społeczno-kulturnego.

Dla dzisiejszej chwili dziejowej stanowi takie badanie w wielu razach punkt wyjścia w t. z. retrospekcji socjologicznej, o której niedawno doczekaliśmy się bardzo ściśle napisanej rozprawy p. t. „Socjologiczne prawo retrospekcji“ przez Kazimierza Krauza („Ateneum“ za sierpień i wrzesień r. 1897).

Osobliwie dzisiaj, kiedy to retrospekcja socjologiczna zwraca się bardzo daleko wstecz ku ustrojom komunalno-rodowym i ich śladom wśród „prostego ludu“ — ma ludoznawstwo znaczenie wprost aktualne — niejako bieżące a wymownym na to dowodem i przykładem może być np. cenna rozprawa Witorta p. t. „Zarysy prawa zwyczajowego ludu litewskiego“ („Lud“ 1897—8).

Naturalnie, że nauka ludoznawcza obejmująca tak ogromną dziedzinę — a przytem początkująca, gdyż ledwie od końca zeszłego wieku mniej lub więcej systematycznie uprawiana, posługiwać się musi rozmaitymi metodami, które są często nawet rozbieżne.

Przy końcu XVIII w. i w początkach XIX w. zwrócono się śladem prac braci Grimmów do badania początku wierzeń ludowych, na zasadzie starej teorji Anaksagorasa, który w bó-

stwach starej Hellady widział personifikacje sił i zjawisk przyrody.

Dzisiaj zerwaliśmy z tą metodą i śladem Spencera dopatrujemy związków każdego kultu ludowego w t. zw. kulcie duchów, który modyfikował się pod wpływem najróżnorodniejszych czynników rozwoju społecznego, ale metoda Grimów była długi czas powszechnie przyjmowana i otworzyła wstęp do rozwoju nauki ludoznawczej.

Dalszemu rozwojowi ludoznawstwa ułatwiły drogę takie gałęzie wiedzy, jak orjentalistyka, lingwistyka porównawcza, dalej archeologja, antropologja i etnologja, t. j. badanie i poznawanie ludów, stojących na nizkich i najniższych szczeblach rozwoju spełeczno-kulturnego i zastosowanie rezultatu tych badań do krytyki legend i podań ludowych. Na tak szerokiej podstawie umiejętnej oparte „ludoznawstwo“ stało się jednym z ważniejszych czynników torujących drogę nowemu, ewolucyjnemu poglądowi na świat i dzieje całej ludzkości. Naodwrót także — pogląd ten wpływa obecnie na dalszy rozwój wiedzy ludoznawczej, w różnych kierunkach, wśród których zdaniem mojem naczelne miejsce zajmuje monistyczny pogląd na ewolucję dziejowego rozwoju ludzkości, opierający się na dziełach Feuerbacha, dalej zaś Marksa, z którym do pewnego stopnia stoi w ścisłym związku Morgan i jego liczni następcy tudzież naśladowcy.

W miarę badania literatur azjatyckich odkrywyno całą masę podań i powieści, żyjących w ustach ludów europejskich. Była to pierwsza wskazówka do rozpoczęcia porównawczych badań tych podań, co do dziś dnia stanowi jedną z głównych gałęzi ludoznawstwa, a w swoim czasie było podstawą t. zw. szkoły migracyjnej w ludoznawstwie, która śladem dzieł Dunlop'a, Liebrechta, Maine'a, także Morgana i innych dostrzegała migracji podań, legend, pieśni, dalej obyczajów i zwyczajów ludowych — główny klucz do poznania tychże, a więc także do poznania ludu wogóle. Maine, Morgan, Mac Leman i inni zwrócili jednakże równocześnie uwagę na fakt analogii rozwoju cywilizacyjnego ludów, nie opierającego się jednak tylko na wpływach migracyjnych. Przeciwnie wpływy migracyjne okazały się w wielu razach tylko dorywczą naleciałością i co więcej przekonano się, że bardzo często analogje nie są wynikiem migracji, lecz wynikają z przyczyn tkwiących w identycznych mniej więcej stanach rozwoju społeczno-kulturnego. Dostrzega się taki fakt wyraźnie np. w analogjach zdumiewających między powstaniem i dalszym rozwojem takich olbrzymich systemów religijno-społecznych jak budhyzm i chrystjanizm.

Obok analogji jednak występują i różnice, których źródła różni — różnie poszukują. Tu i owdzie można nawet spotkać się ze zdaniem, że różnice rozwoju i życia warstw ludowych są regułą, analogje zaś tylko naleciałością. Ci, którzy tak myślą — zakreślają dla ludoznawstwa bardzo szczupłą granicę rozwoju — bo sprowadzają je do prostego opisywania i zszeregowywania zjawisk życia ludowego; w poważnej jednak nauce taki pogląd nie znajduje uzasadnienia natomiast ewolucyjna teorja rozwoju społecznego całej ludzkości znajduje coraz więcej zdecydowanych zwolenników, jest nawet dla wielu przeciwników w części miarodajną. Różnice rozwojowe — obok zasadniczych analogji tłómaczymy dzisiaj różnorodnością doborów rasowych, które wpływają na różnorodność przyjmowania czynników rozwojowych społeczno-ogólnych, na ich postać zewnętrzną u poszczególnych ludów, tudzież na szybkość pochodu cywilizacyjnego, względnie na czasowy zastój. Ten kierunek w badaniach ludoznawczych nazywamy „szkołą antropologiczną“, a treściwe przedłożenie jej podstawnych zasad znajdujemy w wydanej niedawno rozprawie p. M. Krzywickiego p. t. „Człowiek i społeczeństwo“ („Biblioteka Warszawska“ za listopad r. 1897).

ŻAŁOBA.

Rozpuściłaś czarne włosy
Żałobo,
A noc ciemna cicho pełza
Za tobą.

Idziesz cicha, zadumana
Przez ściernie —
W czarnej ciszy ból wybujał
Niezmiernie.

Już dosięga głową nieba
Tułaczą,
A na ziemi żadne usta
Nie płaczą...

Żadne skargi już się z ziemi
Nie wznoszą,
Żadne usta już litości
Nie proszą.

Rozpuściłaś czarne włosy
Żałobo —
Jak noc czarna cicho idę
Za tobą!..

Fr. Mirandolla.

ADAM KRAJEWSKI

PRZYCZYNEK DO HISTORJI CZASÓW SASKICH W POLSCE.

Ciąg dalszy.

Do pana Villiers pisał król pruski już po wkroczeniu w granice Saksonji i właśnie wtedy Anglja pośredniczyła między zwaśnionymi. List ten datowany z głównej kwatery w Zgorzelcu dnia 1. grudnia 1745, opiewa następująco:

„Mój Panie! Sądzę że Anglia i cała Europa musi być przekonaną o moich dobrych zamiarach. Gdyby mnie król polski nie był zmusił przez swe nieszczere postępowanie do wkroczenia w jego kraje, (mowa to o Saksonji) byłbym tego nigdy nie uczynił. Ale pomimo wszelkich korzyści, — jakto widzi cała Europa, — jakie mam względem moich nieprzyjaciół, jestem jednak skłonnym do podpisania pokoju.

Gdy jednakowoż z doświadczenia wiem dobrze, co o sobie mniema dwór drezdeński, nie mogę ani kazać zaprzestać kroków nieprzyjacielskich, ani wojsk swoich z kraju wycofać, dopóki król polski nie będzie trzymać się postanowień konwencji hanowerskiej. Możesz pan być przekonany, że wiadomości o tem oczekuję z wielką niecierpliwością i według tego, gdy ją tylko otrzymam, zastosuję moje dalsze działanie. Pojmujesz pan, że to o czem mu piszę, nie może powstrzymać postępów zwycięzkiej armji i że dwór drezdeński zamyśla sobie tylko wygodną furtkę urządzić, zanim się dowie o postanowieniach dworu wiedeńskiego. Gdybym z tej strony widział więcej szczerości a pan w imieniu króla angielskiego zaręczyć mógł za skutek swych usiłowań, byłbym gotów opowiedzieć się za wszelkimi warunkami pokoju, jakiebyś pan podał, aby między oboma dworami mogło przyjść do pokoju silnego i trwałego.

W tej kwestji nie żądam od pana niczego więcej, jak tylko wyraźnej i jasnej odpowiedzi, z czegoby król polski mógł poznać, że ja niczego sobie więcej nie życzę, jak tylko utrzymania jego poddanych i przywrócenia napowrót trwałej przyjaźni z moim sąsiadem. Od niego samego zależeć będzie wzmocnienie tej przyjaźni na przyszłość i wyciągnięcie z niej znacznie większych korzyści, niż z tego drugiego sprzymierzeńca.

Proszę pana użyć całego wpływu, a który ja znam, aby układy te można przeprowadzić, a na które król pański zgodzi się z pewnością; przywróci to bowiem spokój w Niemczech i zakończy wojnę między dwoma sąsiadami, która z pewnością dla obu stron równie jest szkodliwą i pożałowania godną.

Zapewniam pana, że los Saksonji zależy od pańskiego działania. Z zapewnieniem szacunku, — *Fryderyk*".

Pomimo tych rozpoczętych układów pokojowych z Augustem, wojna, w której Polska była zupełnie neutralną, wrzała dalej i szło właściwie Fryderykowi nie tyle o jej zakończenie pokojowe, ile bardziej o rozerwanie sojuszu Austrji z Saksonją, aby nie być branym we dwa ognie. Tymczasem nie próżnował i dwór wiedeński, pracując wszelkiemi siłami, aby bądź co bądź przymierze z Saksonją utrzymać.

Cyrkularz z Berlina z daty 4. grudnia tegoż roku do ministerstwa spraw zagranicznych, wydany z rozkazu króla i w jego imieniu, a podpisany przez ministrów von Podewilsa i Borckego, wskazuje na dalsze kroki nieprzyjacielskie, podjęte ze strony armji austrjacko-saskiej, mimo układów rozpoczętych z dworem drezdeńskim na podstawie listu z dnia 1. grudnia. Potwierdza to drugi list do pana de Villiers, datowany z Bautzen 5. grudnia 1745, gdzie król pruski znowu w tej sprawie pisze, mając już zapewne od pośrednika angielskiego odpowiedź na list pierwszy, w którym nawiązano układy:

„Nie wiem, kto z nas dwu, ja czy Saksonja, będzie panu wdzięczniejszą za przywrócenie spokoju. Szkoda, jaką muszę wyrządzać memu sąsiadowi, dzieje się z największą z mej strony niechęcią. Jestem zmuszony rzeczy doprowadzać do ostateczności; ułatwiam jednak równocześnie królowi polskiemu wszelkimi rozporządzalnymi środkami, aby się mógł wydobyć z tej matni.

Żeby więc zakończyć nareszcie tę nieszczęśliwą wojnę, potrzeba, aby król polski wygotował bezzwłocznie dla jednego ze swych ministrów, któremu ja równocześnie paszport przyszlę, zupełne pełnomocnictwo.

Posłałem rozkaz memu ministrowi dworu, hrabiemu von Podewils, ażeby się do tego jak najrychlej i najściślej zastosował; a skoro tylko układ będzie gotowy i skoro król polski go podpisze, każę natychmiast opuścić jego kraj, jego fortece i zaprzestać kroków nieprzyjacielskich.

Co się tyczy odszkodowania za spalone okolice i wyrządzone szkody, to nie mogą one mieć miejsca tak długo, jak długo król polski nie przyjmie preliminarjów, przez moich ministrów ułożonych. Mogę zresztą królowi polskiemu za stratę jego poddanych tyle tylko wynagrodzić, ile mi królowa węgierska (Marja Teresa) wynagrodzi za szkody, zrządzone i zrządzić się jeszcze mogące na Szląsku.

Będzie mi bardzo przyjemnie, jeżeli pan będziesz tu towarzyszył temu saskiemu ministrowi, który do mnie przyjedzie, ale z nieograniczonem pełnomocnictwem swego pana. Sprawi mi to wielką radość, ujrzeć męża, którego tak wysoko cenię i który przejęty jest jako minister wielkimi przymiotami człowieka, który przez zgaszenie pochodni wojny i niezgody, spokój między narodami przywraca.

Mam nadzieję, że niewiele masz pan czasu do stracenia, ażeby się zaopatrzyć w pełnomocnictwo swego dworu, potrzebnego do gwarancji ze strony Wielkiej Brytanji i sądzę, że tą samą drogą pójdą i pan Bestuszew i holenderski minister. Uważam ten pokój za podstawę do uspokojenia Niemiec. Królowa węgierska albo zaraz do niego przystąpi, albo nie będzie już długo stawiać oporu.

Dowiedziałem się również z boleścią, że król polski opuścił swą rezydencję. Jestto obelga, jaką on wyrządził memu sposobowi myślenia. Miałem każdego czasu osobisty dla niego szacunek i mam go zawsze dla jego godności i dla jego domu, choćby jak największa burza wojenna szalała. Możesz pan zapewnić tego księcia o mej prawości i szczerości; możesz mu pan powiedzieć, że tylko od niego zależy, ażeby oba dwory na przyszłość w najlepszej żyły przyjaźni. Dla pana zaś pozostaję z pełnym szacunkiem".

Panu de Villiers mimo tego ciężko szła robota; dwór drezdeński postawił bowiem swoje warunki, mianowicie zaprzestanie kroków nieprzyjacielskich a co do punktacyj pokojowych zażądał namysłu, zanim przyjdzie odpowiedź z Wiednia. Odnośnie do tej odpowiedzi, pisze Fryderyk do swych posłów zagranicznych w dniu 7. grudnia (a więc już w dwa dni po poprzednim liście do pana Villiers). Skarzy się tam długo i szeroko na nieszczerość dworu saskiego względem niego i mówi między innemi:

„Wiem dobrze, że zdrowsza część ministerstwa (saskiego) nie jest temu winną, iż warunki moje, tak łagodne, nie zostały przyjęte i że wielu z nich nie szczędziło próśb i nalegań, aby je przyjąć. Ale ci źli doradcy, którzy wtrącili Saksonię w to jej teraźniejsze położenie i teraz potrafili wziąć górę i tak króla polskiego nastroić, że postanowił raczej opuścić swe państwo i wydać je na pastwę losu wojny, niż usłuchać głosu rozsądku. Nie pozostaje mi zatem nic innego jak chwycić się ostatecznej drogi“ i t. d.

Cyrkularz ten kończy się reskryptem do posłów, zebranych na sejmie w Regensburgu w tej samej sprawie.

Pomimo tej zapowiedzianej „ostatniej drogi“ nie zaprzestał król pruski dalszych układów pokojowych z Augustem III. za pośrednictwem ministra angielskiego. Co prawda, to piorunem szła ta korespondencja; w dniu bowiem 11. grudnia 1745 datowano już z Bautzen pismo następne.

Ciąg dalszy nastąpi.



Gwiazdy i grzyby w podaniach ludu.

(Szkic etnologiczny)

Ciąg dalszy.

Najlepiej posyłać dzieci na grzyby, bo o n o nie ma żadnej do nich mocy, chybaby piekły grzyby na ogniu w lesie, lub pomieszali K o ź l a k i z K o z i e r o ż k a m i. — Owa nijakiego rodzaju figura baśni, którą gmin określa przez „o n o“ jest nieuchwytnem jakiemś złem, posiadającem tajemniczą siłę do szkodzenia ludziom; to złe ma jednak pewne zakreślone granice, po za któremi szkodliwie działać nie może.

Obrzęd grzybobrania w „Panu Tadeuszu“ skreślony jest przez Mickiewicza bez przymieszki ludowych zabobonów, albowiem w poemacie lud nie bierze w grzybobraniu udziału. Mimochodem tylko wieszcz nasz nadmienia, że ludowe pieśni litewskie mówią o grzybach wychodzących na wojnę pod wodzą b o r o w i k a, którego zowią grzybów pułkownikiem.

Podobnej pieśni nie słyszałem nigdzie, ale istnieją podania, iż grzyby same umieją śpiewać i gwizdać — a niekiedy cały las napełniają tajemniczym gwarem, piskiem i kwikiem. Sławione dalej w pieśniach litewskich bywają L i s i c e, zwane przez Polaków L i s z k a m i, a przez Rusinów Ł y s z k a m i. Twierdzą wieśniacy, że je d w a r a z y z j e ś ć m o ż n a, tak trudne do strawienia, choć smaczne. Szafranowego są koloru, rosną na wałkowatych pieńkach z nakryciem przypłaszczonem, które lud zowie g u z i k i e m. Drugi ich gatunek, nieco jaśniejszej barwy, ma kształt białych tulipanów, listki mięsiste, karbowane wierzchem. W grzybacy tych rzeczywiście nigdy robactwo się nie zalęgnie — i według słów poety:

„Godłem są panieństwa — bo czerw ich nie zjada
I dziwno, żaden owad na nich nie usiada.“

Istnieje jeszcze inny getunek grzybów, które wieśniaczki zowią P a n n a m i. Są barwy kanarkowej, korona ich tarczowa sfałdowana bardzo symetrycznie niby kryzy. Są to ostatnie grzyby przed zimą. Rosną na pagórkach piaskowych, rzadkim mchem okrytych. Z pod pierwszego — ziemię przyprószającego śniegu, słomianą swą barwą żółcieją kupkami, niby matowane złoto.

Złośliwe to jednak grzyby, zaczarowane jakieś wiedźmy, owe P a n n y. — „Pewnego razu parobczak już stateczny, zbierając te bedki, spostrzegł, że mu ręka nagle zczerniała jak smoła. Zalękniony rzucił wszystko i pobiegł do domu. Tam obkładano mu rękę wapnem i tłuczonymi pająkami, ale nic nie pomagało. Baba lekarka uznała, że to d o p u s t, którego trudno przemódz zamawianiem, dłoń napuchła i w przeciągu jednej doby parobczak umarł.“ (Kraina, w opatowskiem).

Szczególniejszem jest, iż pierwszem i ostatniem ogniwem w szeregu grzybów stanowi rodzaj żeński. Na czele stoją tak zwane B a b k i, pierwszy owoc leśny i pierwiosnki borów — ostatnie są P a n n y, późnej jesieni dary. A jedne i drugie uzyskały złośliwe przymioty, niby obywatelstwo niezaszczytne w królestwie guseł. Jakie zaś B a b k i wyrządzają psoty kobietom, gdy same do lasu idą, to poznamy z następującej skazki:

„Rankiem wczesnym po pierwszym deszczu wiosennym wybrała się młoda niewiasta za grzybami. W lesie słychać było jeszcze, niby wrzawę piskliwą po za pniakami, gdzie B a b k i rosły kupą. P o d e s z c z u n a w i o s n ę, t o o n e s i ę r o j ą j a k p s z c z o ł y. Gdy kobieta Babkę urwała, zapaliła się jej jasnym płomieniem w ręku — a inne szczezły pod pniakami, wrzasnąwszy jak stado gęsi. Cały rok owej kobiecie jątrzyła się ręka, aż dopiero znachor ze wsi sąsiedniej zamówił jej oparzelinę — oraz odgadł, że idąc do lasu, kobieta była nieczysta, tj. nieumyta“.

Zapalne owe Babki-grzyby, mają kształty stożków; u wierzchu ciemnoszaremi karbami urozmaicone, łodyżki czyli nóżki mają długie i białe. Drzewka w zabawkach dla dzieci, owe topolki z wiórowym liściem, są zupełnie podobne do Babek, nader delikatnych i smacznych.

Po babkach z początkiem maja pokazują się P o d p ł o t k i lub P o d s a d k i, u Rusinów P i d s a d k i. Są to wygnańcy, przez pospólstwo grzybów odpędzone od borów. Rosną pod płotami sadów i ztąd ich nazwa. Łodyżki mają cienkie, bardzo białe, denka talerzykowate; są dosyć smaczne, lecz tylko te, które nie w lesie rosną. Inne, co pozostały w lesie po jakimś sądzie — według fantazji ludowej — odbytym na nimi, zmarniały pośród innych grzybów i zamieniły się w pogardzane, bo jadowite psiuki.

Za podsadkami z kolei pierwszy zjawia się G r z y b p r a w d z i w y, B o r o w i k Mickiewiczowski. Rusini nazywają go W i j t lub B o r o w y — lud polski daje mu w niektórych okolicach nazwę M ą d r z y k, L e s z c z a k i L e ś n i k, (w kaliskiem i piotrkowskiem). On to przekonuje się, czy ład panuje — a zarazem bywa wyrocznią, co do urodzajów przyszłego roku. Uważają więc wieśniacy, gdzie w maju rosną prawdziwe grzyby, czy w dolinach, czy po wyżynach, bo

zboże następnego roku stosownie do tego zrodzi się — bądź na nizinach, bądź na górkach. Grzyby prawdziwe z kształtu powszechnie są znane, przychodzą w znacznych ilościach suszone wieńcami na targi.

Za borownikiem, najpilniej zbieranym przez dziewczęta, wychylają się na świat Sołtysy. Jest to jakby świta zbrojna i pomoc borowika. Mniejsze od niego wzrostem, grzyby-sołtysy z kształtu podobne są do niego i z barwy. Cieńsze tylko mają nóżki.

Gdy tak bezpieczeństwo i ład zapewniono rzeszy grzyborostów, przybywają z dniem każdym nowe podgatunki grzybów. W nich rodzaj ludzki — oprócz wspomnianych Babek i Panień, Leśników i Sołtysów — jednego tylko jeszcze znajduje przedstawiciela w Muchomorze — Maramuch zowią go Rusini — a w lubelskiem Popem, ubranym w krasny ornat, z powodu malowniczej powierzchowności jego. Zresztą podgrzybki Maśluszkami bądź też Maślakami zwane, uważa gmin za czarownice, bo mleko wysysają z Krówek (także grzybki) i niem tyją. W sanockiem lud ruski owe Maśluchy nazywa także Łazami i twierdzi, że gdy one licznie się rozsiędą, wtedy i grzyb prawdziwy, Wijt-Borowik uchodzi, bo im zawsze pomaga jakieś licho. To wyobrażenie oparte jest zapewnie na fakcie, iż tam, gdzie pierwsze (Maśluchy) rosną, grunt jałowieje, bo gąbczasty organizm ich zużywa soki wegetacyjne dla siebie, a innym grzybom odbiera możność uprawy naturalnej i rozrostu.

Są jednak i podania i szkodliwości ich w obec ludzi. I tak: „Leśna pewna spotkała dzieci djaka, które nazbierały Maśluchów. Odebrała im je — i kobiałkę zagrabiła; miała bowiem zawziątek do ich ojca.

Przyszedłszy do domu, leśna postawiła zagrabione i własne bedki na ławie pod oknem, a zajęła się wieczerzą. Mając zamiar w przedświty powieźć grzyby do miasta, rychło z dziećmi ułożyła się do snu. W nocy przebudza ją krzyk chłopca śpiącego na przypiecku. Wołał przeraźliwie: Matusiu, bo po mnie łazi, matusiu, bo mnie dusi! — Skoczyła matka, ale pośliznęła się przy łóżku na wznak i potłukła się dotkliwie.

Chłopiec tymczasem jęczał coraz żałośniej, że go dusi. Dziewczyna śpiąca z matką, dobiegła do komina, rozniecić ogień. Zobaczono tedy, że na szyi chłopca siedzą dwie ropuchy, a na rękach cała gromada żab. Wszystkim zaś ślepie błyszczały jak sowie. Spędzono to brzydactwo i wymieciono do sieni. Spojrzała leśna do kobiałki, bo coś się ruszało — i widzi, jak z każdej maśluszki po kilka żab wyłazi, które skoczywszy na ziemię, wprost puszczają się do chłopa na przypiecek. Odmiatano je ku drzwiom aż do rana, a przecież lazły. Gdy zadniało, dziewczyna mówi do matki: Patrzajcie, to nie żaby, ale suche liście zmiatałyśmy na kupę. I tak było! Leśna zagląda do kobiałki: są maśluchy i bedki, ale ruszają się, bo pełno w nich robaków; nie miała przeto co ponieść do miasta.

Chłopiec zachorował na gorączkę i przez całe lato nie mógł stanąć na nogi. Wożono go do lekarek, lecz jedna z nich oświadczyła, że musi zjechać na miejsce, bo w chacie jest przyczyna. Przyjechała więc i solą zarumienioną na ogniu odczyniała zadaną, a również posłała po djaka, poznawszy, że tu bez niego nie ma rady. Gdy przyszedł, powtórzyła zamawianie, a djak trzymał chorego, żeby krzyżem leżał na ławie. W czasie tych praktyk cudotwórczych, usłyszano niby jęk z pod ziemi: „Nie męcz! nie męcz!“ — Lekarka wtedy kazała djakowi kolnąć wrzecionem za piec, a gdy to uczynił, usłyszano kwik — i ogromne żabsko przebite wrzecionem wyciągnął djak z za pieca. Chłopiec wyzdrowiał, ale całe życie pozostały mu na szyi gule okrągłe, niby maśluchy“.

W krasnostawskiem (wieś Bzite) opowiadają o pewnym koniokradzie inny wypadek, przez maśluchy spowodowany. „Złodziej ukrył się wraz z uprowadzonymi końmi w lesie przed przewidywaną pogonią. Głodny będąc, nazbierał grzybów i w wykopanej jamie zapalił ogień, aby je upiec. Zanim paliwo się zwęgliło, znosił i składał bedki przy jamie. Słyszał jak we wsi, zkąd konie ukradł, dzwoną na odgrażkę,[1]) ale mało dbał o to, dobrze będąc ukryty w zaroślach. Gdy rozgarnął wegle i grzyby układał na ogień, to zrazu nic nie było; układał je przeto i zesuwał; — aż gdy sięgnął po maśluszkę, to ta jak mu w ucho strzeliła — aż ogłuchł — a przytem krzyczał co miał mocy: „Ratujcie ludy!“ — Huk i krzyk usłyszała pogoń, las przeglądająca, nadbiegła więc i złodziej został ujęty. Do samej też śmierci pozostał głuchym na jedno ucho“.

Wszystkie inne grzyby i bedki mają nazwy po ptakach i zwierzętach domowych, albo od miejsca, na którem rosną, lub nareszcie imiona przymiotowe. Przytaczam tu — o ile to jest możebne w tem mnóstwie grzyborostów, — kolejno według czasu pojawiające się grzyby, na które lud wiejski to w jednej to w drugiej części kraju zwraca swoją uwagę.

W ślad za sołtysami — pokazują się Gołąbki, czerwone, perłowe i srebrzystego koloru; po rusku Syroiszki — na Litwie zwane Surojadki (Mickiewicz). Razem z niemi rosną wspominane już Liszki. Dalej przychodzą Gąski, Huski — żółtawej barwy, z pozornemi skrzydełkami po bokach. Do nich łączą się Husary, lecz nie w znaczeniu żołnierzy tak nazwane, tylko w znaczeniu Gąsiorów. Wzrostem większe są od Gąsek — i organizm mają trwalszy, mniej gąbkowaty. Podania o tych gatunkach nie słyszałem żadnego.

Krówki z wierzchu czerwone, spodem białe. Rozłamane wypuszczają ciecz białą podobną do mleka. Licznie istnieją o nich bajki i skazki — jak również i o Koźlakach i Kozirożkach.

Grzyby Krówki mają być szczególnie niebezpieczne dla kobiet brzemiennych. Gdy one je zbierają, dzieci będą miały kołtun, albo im z uszu ciec będzie. Matce na piersi porosną wrzody — a najzwyklejsze następstwo, sprawdzone jakoby bardzo często, jest utrata mleczności u krów, dojonych przez niewiasty tego dnia, kiedy zbierały w lesie krówki.

Więcej zajmującemi są skazki o stosunkach nieprzyjaźni, panującej pomiędzy maśluszkami a krówkami. Ostatnie wystawione są ustawicznie na gwałty pierwszych — a szpiegowane przez kukułkę. Kukułka — u Rusinów Zazula, — tak jest osławioną w rzędzie ptaków, jak wspólniczka jej, maśluczka pomiędzy grzybami. Obie są zaczarowanymi jakiemiś istotami,[2]) a to powinowactwo mistyczne łączy je do wzajemnego dopomagania sobie. Czynność kukułki polega właściwie na tem, aby rozpatrywać w lesie stanowisko Krówek, i zajęta tem jest tak pilnie, iż nie ma nawet czasu urządzić sobie własnego gniazda i wysiadywać młode. Jajka więc swoje podrzuca innym ptakom.

Skoro wypatrzy gromadkę krówek, kukułka natychmiast zawiadamia o nich maśluszki, wołając z drzewa co ma sił

---

[1]) Odgrażać dzwonieniem zwykli wieśniacy na Rusi i wierzą, że można przezto zmylić drogę złodziejowi tak, że błądzić będzie, aż go pochwycą.

[2]) Kukułka ma być księżniczką, zacza[illegible]na przez klątwę matki swej, której woli spełnić nie chciała [illegible]a ją także szlachcianką, dlatego, że sama nie wychowu[illegible]

tu-tu! tu-tu!.. Na to hasło cała gromada maśluszek wyskakuje z pod mchu, krzaków i trawy i podpełza do krówek, poczem je napada wysysa i dusi. Kukułka patrząc na te zapasy — **śmieje się** wtedy głośno, aż powietrze wzruszy i chmury ściągnie deszczowe. Wyprawy takie widywali koniarze, co nocowali na pastwiskach przy koniach. Zauważyli oni także, że gdy się maśluszki nakarmią, wtedy nie chcą robić nowych wypraw: przysiadają gdzie nie bądź zasypiają — a kukułka nawołuje je aż ochrypnie, ale napróżno.

Grzybokrzew **Koziero żki** wyrasta z jednej grubej łodyżki i rozsypuje się w kępki, podobne do bukietów, koloru niedopalonej kawy. W układzie i formie listków, rożkami zwanych, panuje największa rozmaitość. Jeden owalny — drugi to wykąsany, to zgarbiony, to kolankowaty lub wygięty w zygzaki i łuki, drwi z wszelkich prawideł ładu i symetrji.

(Dokończenie nastąpi).

Edmund Kolbuszowski.

ALEKSANDER KIELLAND

POD SZTANDAREM PRACY.

Powieść.

(Przekład z norweskiego).

Ciąg dalszy.

— Co zaczniemy? — zapytał naczelnik.

— Postępowanie sądowe.

— Proces! — zawołał naczelnik i przystąpił bliżej. — Namyśl się nad tem dobrze, Soeren! Znam ludzi, którzy przeprocesowali i dom i gospodarstwo, i o mniejszą rzecz niż ta. Już niejeden spoczywa w grobie dzielny człowiek, którego adwokat Tofte wpędził przed czasem pod ziemię.

— Nie powinieneś tak mówić o twoim bliźnim, naczelniku pilotów! Zresztą adwokat powiedział, że może to być długi i kosztowny proces.

— Będę kopał rów dalej — rzekł Njaedel — będę.

— Tego z pewnością nie uczynisz, Njaedel, skoro przyjdzie wójt i zakaże.

— Zakaże?

— Widzisz — odparł Soeren — będziesz musiał tak długo czekać, dopóki nie zapadnie wyrok w tej sprawie.

Njaedel przeszedł się po izbie, przesunął stołek i spojrzał bezradny na naczelnika: w końcu jednak powrócił znowu do swego argumentu.

— Mam kontrakt kupna od biskupa z Christiansandu — rzekł stanowczo i klasnął w dłonie.

— Mógłbyś się przecież zapytać biskupa, jak stoi sprawa z łoziną... — rzekł Soeren uprzejmie i spojrzał na niego z boku.

— Hm, przynajmniej coś powiedziałeś, Soeren — mruknął naczelnik — toby tak wiele nie kosztowało.

— Albo też możeby było lepiej zwrócić się wprost do króla?..— rzekł Soeren obojętnie, wyglądając oknem.

— Tak, król stoi nad biskupem — rzekł Njaedel — ale czy sądzisz, że on odpowiada na takie rzeczy?

— Jeżeli tę sprawę oddamy do rozstrzygnięcia ministerstwu ..

— Czemu? — zapytał Njaedel szybko.

— Ministerstwu... — odparł Soeren, który udawał, że posiada tam doskonałe stosunki.

— Naczelniku — rzekł Njaedel tam jest Anders; zapomniałem nazwy. Ale czy dostanie się wtedy do króla?

— Tak — odparł naczelnik pilotów — to droga do króla!

Njaedel n[illegible] [illegible]ie przez chwilę. Propozycja ta podobała m[illegible] [illegible]ej niż proces. Prócz tego był tam przecież Anders; ten mógłby się zająć tą sprawą. Możnaby skończyć raz na zawsze; było to przecież jasnem jak słońce, że słuszność będzie po jego stronie.

Soeren udawał, że ma wielką ochotę procesowania się; pozwolił się jednak namówić na ministerstwo, i w rezultacie wziął na siebie obowiązek załatwienia wszystkiego: napisania i wysłania prośby.

Ale musisz zapłacić adwokata Toftego, Njaedel!

— Przecież ty rozpocząłeś spór, Soeren.

— Tak ale ty kopiesz rów.

Naczelnik pilotów doprowadził do skutku ugodę na podział kosztów i Soeren Boerevig poszedł.

Był już późny wieczór i Seehus spieszył się do domu. Gdy odjechał, poszedł Njaedel do obory. Sześć krów ryczało niespokojnie; nie dostały pożywienia i nie wydojono ich. Njaedel załatwił tę niezwykłą dlań robotę, chociaż brał się do tego bardzo niezręcznie.

Zwierzęta nie znały go; prócz tego był tak wielki i miał także ostre ręce, że zaczęły kopać i wylewać mleko. Njadel mruczał i starał się, jak mógł najlepiej; ale było już późno w nocy, zanim skończył.

Gdy nareszcie stanął znowu na podwórzu i wyprostował się — w oborze musiał się schylać — spojrzał na morze. Powietrze było lżejsze, mógł nawet rozpoznać swój rów jako ciemny pas wśród żółtego piasku. Cieszył się, że znowu z czystem sumieniem będzie mógł pracować około rowu. Odpowiedź od króla nadejdzie przecież niezadługo, gdyż tyle parowców przybija i odbija od brzegów; a jego prawo nie mogło przecież ulegać żadnej wątpliwości.

Rozkoszował się nawet trochę rozczarowaniem Soerena Boereviga i obliczał sobie, ile dni może potrwać, zanim nadejdzie odpowiedź.

Njaedel powlewał mleko do garnków i sprawił przytem niesłychaną powódź. Następnie poszedł na górę, wsadził głowę do izdebki Krystyny i obejrzał się dokoła w półzmroku, wciągając w siebie znany mu zapach. Zamknął drzwi i schował klucz do kieszeni; gdy schodził po schodach, które trzeszczały tak niezwykle w tym osamotnionym domu, przypomniały mu się nagle słowa Soerena Boereviga, że „prawu stać się musi zadość“.

Leżał długo, nie mogąc zasnąć. Głowa jego tyle dziś musiała załatwić rzeczy, a za to członki jego nie pracowały nic. Tęsknił do dobroczynnej pracy dla rąk i nóg, wyciągając się w łóżku; natomiast zaczął myśleć o rozmaitych gadaninach ludzkich, co właśnie nie było jego zwyczajem.

I Njaedel, który zwykle mógł z najgwałtowniejszą burzą iść o zakład, kto głośniejszy, czy jej pioruny,, czy jego chrapanie, słyszał jak kot się włóczy i miauczy w kuchni, albo też na górze przed izdebką Krystyny.

V.

Jeżeli prąd wody uderza w wystający cypl lądu, to woda przebiega dokoła końca, po za nim jednak cofa się w łuku i napełnia zatokę za cyplem małym wirem.

Jeżeli na boku prądu pędzi kawałek drzewa, i zapłynie w ten pierścień, to w zatoce z początku będzie się kręcił dokoła, wywinie się do samego końca cypla, silny prąd jednak odtrąca go z powrotem, nie chwyta i zmusza do kręcenia się ciągle w kółko i w kółko, w nieskończoność. Takie kręcenie się nazywa się u nas wirem albo też wirem zwrotnym.

Niezliczone wiry, jakie tworzy prąd życia, są częścią tak małe, że tylko dla jednego człowieka znajduje się w nich miejsce, częścią zaś tak wielkie, że wchłaniają w siebie całe rodziny i stronnictwa; tak w historji znane są nawet takie wiry zwrotne, w których cały naród kręci się sam dokoła siebie, pchany przez prąd czasu, nie chwytany jednak przez niego.

I życie publiczne kraju posiada także swoje wiry zwrotne, a w Norwegji istnieje dla nich nazwa ministerstw. Są to olbrzymie masy powoli kręcącego się papieru, które jak wir kręcą się w głębokiej dziurze, w której nie ma nic w którą jednak dostaje się wszystko, aby tam się kręcić, i znikać bez śladu.

Szambelan Delphin odłożył pióro na bok, napełnił szklankę i wypił, kiwając sam do siebie głową w lustrze. Było już późno w nocy; siedział w białym krawacie i wyciętej kamizelce; frak zrzucił, gdyż było mu gorąco.

Jerzy Delphin był na balu i rozkoszował się teraz cygarem w domu w swem eleganckiem mieszkaniu kawalerskiem na ulicy Wergeland. Było jego przyzwyczajeniem czuwać długo w nocy — szczególniej po zabawach towarzyskich — a jeżeli nie grał na fortepianie, pisał cokolwiek.

Rano czuł się potem zbitym i spotrzebowywał mnóstwo wody na wewnątrz i na zewnątrz. Gdy potem wchodził do swego wygodnego pokoikn, w którym pani Börresen nakrywała stół do śniadania, był elegancki i świeży jak młodzieniec. Nie był też starszym jak trzydzieści siedm do trzydziestu ośmiu lat; niekiedy jednak wyglądał starzej, szczególniej teraz, gdy jego piękne, kędzierzawe włosy zaczęły mu wypadać.

Gdy szef biura skończył śniadanie i przeczytał gązetę, powstawał zwykle, aby się udać do ministerstwa. Najpierw jednak zaglądał do biurka, co też w nocy napisał. Często kończyło się tem, że darł papier na drobne kawałki i rzucał je do pieca — a to, ku wielkiemu zmartwieniu przystojnej pani Börresen.

Był cichy poranek jesienny. Park zamkowy lśnił w pełnym blasku ze swymi żółtymi i czerwonymi liśćmi wśród zieleni. Ostatnie drgania nocy spoczywały jeszcze jako lśniąca rosa na trawie. Na zwierciadłach stawów leżały opadłe liście i pióra łabędzie, jak flota okrętów, oczekująca na przychylny wiatr. I powietrze było niejako tak samo pełne treści, że ludzie stawali, aby odetchnąć głęboko kilka razy. I trzymając rękę nad oczami w celu ochrony przed słońcem, uczyli się poznawać uczucie, którego nie rozumieli — coś jakby tęsknota lub coś podobnego, podczas gdy spoglądali przez fjordy i niskie grupy gór na południe, gdzie słońce świeciło się w białej, podobnej do zasłony mgle.

Gdy szambelan wyszedł na ulicę, rozpoczęły się powitania, gdyż znał cały świat. Miał też w powitaniach ogromną praktykę.

Poznawał po koniach, kto siedzi w powozie i stosownie do tego regulował ukłony. Nie opuszczał nigdy starych kobiet albo młodych panienek, które pragnęły, aby im ukłony składano do okien; jednocześnie jednak umiał patrzyć na obydwa trotuary i zauważyć, czy na rogu ulicy ktoś nie zdejmuje kapelusza; ba, pozostawał mu nawet czas pozdrawiania panów, stojących na platformach wagonów tramwajowych, przejeżdżających środkiem ulicy.

Z tego powodu też odgrywał w życiu towarzyskiem stolicy wybitną rolę, chociaż może więcej obawiano go się, niż lubiano; miał bowiem ostry język i wiedział o wszystkiem.

Przed jednym ze sklepów na ulicy królewskiej stał powozik ministra Bennechena; Jerzy Delphin chciał się właśnie zapytać stangreta, z kim przyjechał, gdy panna Hilda Bennechen wyszła właśnie z magazynu.

— Ach, kochany panie szambelanie — prosiła — jedź pan ze mną do domu. Mama wysłała mnie, abym wybrała obszycie do sukni, a z pewnością to, co wybrałam, nie będzie się podobało mamie. Jeżeli pan jednak przy tem będziesz, nie będzie mnie ganiła.

— Bardzo mi przykro, ale idę właśnie do ministerstwa. Cóżby powiedział ojciec pani, gdybym się spóźnił do biura?

— Eh, cóż znowu! Czy pan sądzisz, że uwierzę w to, iż pan się boisz papy? Chodź pan tylko!

Zrobiła mu miejsce obok siebie, a on wsiadł.

— Nie dziwi mnie to także, że szambelan Delphin namyśla się, czy ma jechać razem z panną Bennechen — rzekł jakiś młodzieniec idący z przystojną panną przez ulicę.

— Nie, Boże, jakaż ona szkaradna!

— Brzydkie włosy, brzydka cera, wielkie usta, nosa wcale, a jeszcze mniej figury! jedno, co ma jeszcze jakie takie, to oczy.

— Znajdujesz pan, że posiada ładne oczy? — zapytała panna i spojrzała na swego towarzysza.

— Boże uchowaj! Nie takie, jak pewne inne, które znam — rzekł młodzieniec z galanterją — ale jest to przecież najlepsza rzecz, jaką panna Bennechen służyć może.

— Tak, tak, te głupie, nudne, psie oczy.

— Ma być także głupią?

— Jak gęś; to przecież znana rzecz.

Tymczasem Delphin jechał z powrotem z panną Bennechen tą samą drogą, którą już zrobił — minister mieszkał na ulicy Chrystjana Augusta. W przedsionku spotkali wysoką, tęgą młodą dziewczynę, która pozdrowiła panienkę.

— Kto to był? — zapytał szambelan.

— To siostrzenica Andersa Mo; na imię jej Krystyna; czy nie ładna?

— Na mój gust za wysoka — odparł.

— Alfred powiada, że to wspaniały okaz dziewczyny *up and down;* twierdzi, że ją zna z tych czasów, gdy był jeszcze na zachodzie.

Mieszkanie ministra Bennechena urządzone było w wielkim stylu, można było zaraz spostrzedz, że tendencją tego domu było imponowanie. Drzwi stały otworem przez cały

szereg pokojów, które kończyły się na buduarze samej pani, przysłoniętym grubymi dywanami i portjerami.

Pani ministrowa Bennechen przyjęła szambelana z niekłamaną radością; była to wizyta, którą uważała za „coś“! A Hilda z lekkiem sercem patrzyła, jak ją wzruszyła, przyprowadzając z sobą szambelana.

Pani Bennechen miała na sobie jasno popielaty szlafroczek, a na głowie mały koronkowy czepeczek. Pomimo swych pięćdziesięciu pięciu lat była kobietą przystojną, z rozumnemi, zimnemi oczami. W młodości była uwielbianą przez wszystkich pięknością, a z tych czasów pozostało jej pewne upodobanie do ludzi przystojnych.

W towarzystwie była ożywioną, nie posiadając wzniosłego umysłu i nie będąc sztywną; jej uśmiech był ujmujący i byłby nim jeszcze w wyższym stopniu, gdyby nie był przypominał tak silnie tego szczególnego uśmiechu, który prześladuje, jak podobieństwo rodzinne, wszystkie te panie, które sześć swych przednich zębów noszą na płytce kauczukowej.

W salonie znajdowała się także najmłodsza latorośl domu, Alfred, który dopiero co powrócił do stolicy, z dobrym swoim przyjacielem Hierthem. Referendarz tak skromnie, jak tylko mógł, wcisnął się do kąta, aby go szef biura nie zauważył tutaj podczas godzin urzędowych. Mimo to Delphin skinął nań głową bardzo przyjaźnie.

— A teraz wydaj pan swój sąd w tej sprawie, panie szambelanie — rzekła pani Bennechen. — Alfred jest bardzo nieszczęśliwy, biedaczek, z tego powodu, że ojciec nie chce go wziąć do swego ministerstwa. Alfred twierdzi, iż jestto zarówno i uczciwie i po europejsku, jak on to nazywa, aby mu ojciec pomógł w karjerze. Ale pan wiesz przecież dobrze, jak Daniel lękliwie unika wszystkiego, co mogłoby dać powód opozycji do wytoczenia oskarżenia. I diatego...

— I dlatego chce mnie nieszczęśliwego wpakować gwałtem do izby rewizyjnej — przerwał jej Alfred — gdzie nie znam ani jednej żywej duszy, podczas gdy właśnie cieszyłem się z tego, że zejdę się razem z Hierthem; ale gdzież się podział Hierth?

Ten wystąpił teraz z poza rozłożystej palmy i zakłopotany kręcił swoją jasną bródkę.

— Tak, jestto rzeczywiście grzechem wobec Alfreda — ciągnęła dalej pani Bennechen — Daniel był zawsze dla niego taki ostry.

Ale oto wpadły jej w rękę próbki, które przyniosła Hilda, i wkrótce wielki stół cały był pokryty próbkami i materjami. Szambelan pomagał jej i Hilda uniknęła wymówek.

Młodsi panowie stanęli przy oknie.

— Czyś już widział kiedy takie świńskie szczęście, Hierth!? Mieszka tutaj w domu. Jest spokrewnioną z Mo, córka jego brata.

— Z Andersem wszechmocnym — dodał Hierth.

— Tak go nazywacie? Doskonale! Tak, widzisz, Anders wszechmocny jest bratem jej ojca; zresztą stare bydle, skazane za nielegalne pożycie. Widziałeś ją? Przedstawię cię.

— Znałeś ją w domu lepiej?

— Tak, dosyć — odparł Alfred i mrugnął oczami.

— Zobaczysz, że stanie się to samo z nią, co z jej ojcem.

— Jakto? — zapytał Alfred.

— Nielegalne pożycie — wycedził Hierth przez zęby.

Dowcip ten tak ich wziął, że musieli przez pokój jadalny przejść aż na schody, aby tam się wyśmiać.

Gdy szef przyszedł do biura, było już około pierwszej. Na jego stoliku znajdowała się cała góra nowych aktów. Mo stał właśnie i czytał jakieś dokumenta w żółtej oprawie.

— Co to jest Mo? — zapytał szef biura szybko.

— Przedewszystkiem jakieś podanie w sprawie sporu o łozinę na zachodzie.

Anders Mo przyswoił sobie wiele jurydycznych wiadomości i wyrażenia prawnicze znał doskonale.

Szef biura nie zważał na odpowiedź, lecz zajął się przeglądaniem listów, które leżały na stole.

— Zanieś pan ten cały kram do Mortensena i proś go, aby zobaczył, co to jest, i rozgatunkował trochę sprawy — szekł niecierpliwie.

Gdy Mo przyszedł do Mortensena, był ten jeszcze więcej zajęty, niż szef biura; pisał mianowicie ukradkiem artykuł wstępny do swej gazety.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wiadomości artystyczne i literackie.

O „Krzyżakach“ Sienkiewicza, zamieściły obszerną krytykę „Russk. Wied.“ Autor krytyki oddając wszelkie pochwały talentowi Sienkiewicza, stwierdza równocześnie, że Zbyszko (bohater z „Krzyżaków“) jest sobowórem Kmicica i Vinicjusza.

Gemma Bellincioni, znana śpiewaczka, ukończywszy występy w Dreźnie, występuje obecnie z wielkiem powodzeniem w Monachium.

Nakładem księgarni Grendyszyńskiego w Petersburgu, ukazało się poważne dzieło Piotra Chmielowskiego: „Nasza literatura dramatyczna“. (Dwa tomy, stron 521 i 536).

Dyrektorem opery komicznej w Paryżu, mianowany został po zmarłym Z. Carvalhu — Albert Carre, dotychczasowy dyrektor teatru „Vaudeville“.

Pism polskich w Stanach Zjednoczonych wychodzi obecnie 38; między tem są 3 dzienniki, które liczą po więcej jak 10.000 abonentów.

Nieznany dotąd manuskrypt Mozarta, zeszyt jego pierwszych prób kompozytorskich, odnaleziono w Berlinie. Zawiera on 42 kartek formatu oktawy i nosi datę 1764.